

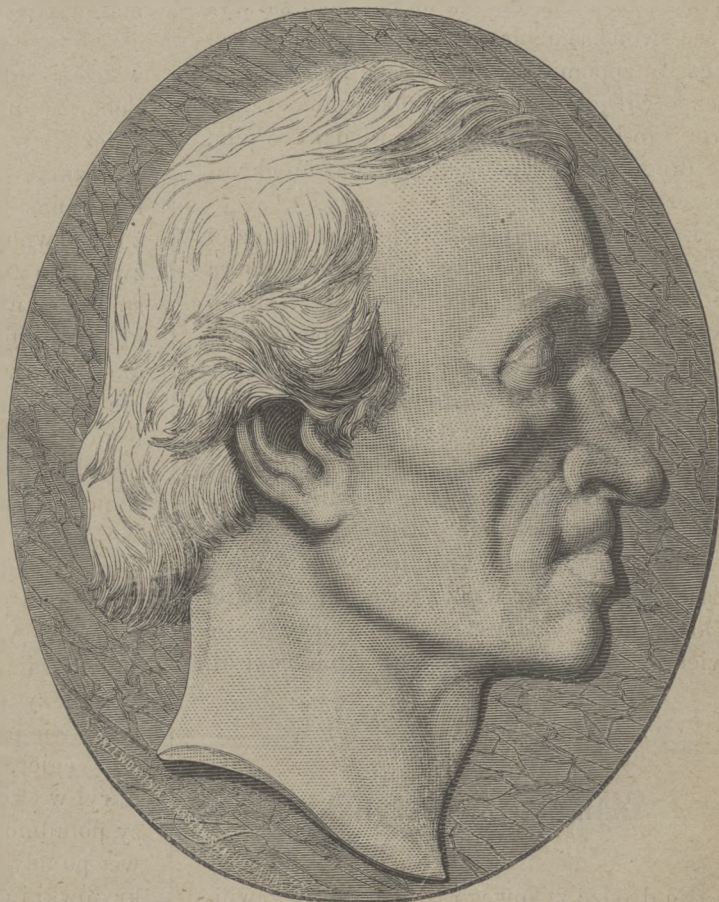


CHASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE  
DLA DZIECI.

JULIAN BARTOSZEWICZ.

Mało jest ludzi, podejmujących wielką i uciążliwą pracę, nie dla zysków i własnej korzyści, ale jedynie przez prawdziwe zamiłowanie nauki. Takim największą cześć, największe uwielbienie się należy, gdyż oni pracują i poświęcają się dla nas wszystkich, my to zbieramy owoce ich trudów.

Do takich zasłużonych pracowników należał znakomity historyk, Julian Bartoszewicz. Urodzony w r. 1821 w Białym Radziwiłłowskiej, nauki pobierał najpierw w szkole pijarskiej w Łukowie, następnie w gimnazjum w Warszawie, nauki uniwersyteckie ukończył w Petersburgu, poczem powróciwszy do Warszawy, był nauczycielem gimnazjum, a następnie kustoszem biblioteki głównej. Umarł w Warszawie 5 Listopada r. 1870.



Julian Bartoszewicz.

Jeden z blizkich jego przyjaciół w krótkim wspomnieniu pośmiertném tak się wyraża: „Bywają na świecie ludzie olbrzymiej, żelaznej pracy. Ale siły ludzkie mają swoje granice i przychodzi chwila, w której najwytrwalszy pracownik musi użyć spoczynku. Trzeba mu odetchnąć, dać myślom folgę, zgromadzić, że tak powiem, nowy zasób życia. Otóż Bartoszewicz nie wypoczywał nigdy.“

Niema zajęcia żmudniejszego i bardziej utrudniającego, jak odczytywanie starych rękopisów i różnych historycznych dokumentów. Niejeden historyk wzrok przytém utracił, między innymi Karol Szajnocha, którego życiorys podaliśmy wam na początku bieżącego roku. I Bartoszewiczowi lekarze wzbraniali oddawać się tej pracy wieczorem, przy świetle sztuczném; ale tak, jak inni ludzie nie umieją się wstrzymać od zabaw i przyjemności, tak on nie mógł się wyrzec swoich mozolnych badań historycznych i często zapominał o przepisach lekarzy, gdy rozpoczął jakie ważne poszukiwania. Zdrowie jego było bardzo wątłe, wiedział o tém, że długo nie pożyje, i żałował każdej chwili bezczynnej.

Bartoszewicz napisał wiele cennych dzieł historycznych, a między nimi jest historia literatury polskiej dla młodzieży. Daleko więcej jeszcze pozostawił w rękopisach niewykończonych, a zwłaszcza w licznych zipskach, w których nagromadził nadzwyczaj bogaty materiał historyczny. Rękopisy czekały się druku, ale z nieocenionych notatek, na luźnych kartkach spisanych, nikt zapewne skorzystać nie potrafi.

Podajemy wam to krótkie wspomnienie o zasłużonym mężu, wraz z wizerunkiem jego. Dokładnego życiorysu Bartoszewicza, o ile wiemy, nikt jeszcze dotychczas nie napisał.

## Zamek Czorsztyński.

Po drodze z Nowego Targu do Szczawnicy, wśród przeslicznego górskiego krajobrazu, nad rzeką Dunajcem, na szczycie stro-

miej góry, sterczą zwałiska obronnego zamku Czorsztyna. W obszernym opisie tatrzańskich okolic, drukowanym zeszłego roku w naszym Piśmie, była też wzmianka o tym zamku, obecnie, podając czytelnikom widok jego robiony z natury, dodajemy niektóre szczegóły dokładniejsze, które czerpiemy z Przewodnika do Tatr i Pienin, wydanego staraniem p. Walerego Eliasza, wielkiego znawcy i miłośnika tych pięknych gór naszych.

Czorsztyń, zbudowany na szczycie stromiej góry czerwonego wapienia, wyborną był na dawne czasy warownią, miał bowiem położenie tak szczęśliwe, że kto ów zamek posiadał, dzierżył w swych rękach cały ruch na tym gościńcu, jedynym w tej stronie pomiędzy Polską i Węgrami. Zamek znajdował się na takiej urwistej skale, że trudno nawet pojąć, jak do niego wjeżdżano; ztąd zapewne otrzymał nazwę Czorsztyna, czyli dyabelskiego, czortowego grodu. Niektórzy jednak wyprowadzają tę nazwę od niemieckiego wyrazu Schornstein, to jest komin. *Tyn* znaczy gród w języku starosłowiańskim, dużo też było u nas zamków z taką końcówką, a nawet mamy Tyniec nad Wisłą koło Krakowa. Można też wnosić, iż grodem dyabelskim przewzano go z powodu położenia, które go wystawia na natarczywość każdej burzy, zkażkolwiek ciągnącej. Opowiadają mieszkańcy okoliczni, że żadna burza z piorunami nigdy nie minie Czorsztyńskiego zamku, a pioruny jeden po drugim godzą w stare mury. Podobno nawet głównie z tego powodu przestano mieszkac w tém zamczysku.

Początek Czorsztyna ginie w pomrocc wieków. Pierwszą pewną wiadomość o istnieniu zamku podają kroniki w r. 1241, gdy Bolesław Wstydlivy przed pierwszym napadem Tatarów wszedł do Węgier, a nie znalazłszy tam pewnego schronienia, gdyż po bitwie pod Lignicą pohanstwo wkroczyło do Węgier, przemknął się znów do Polski i ukrył w Czorsztynie, gdzie zamieszkał w wieży południowej, zwanej Zieleniec. Król nawet po odrocie Tatarów nie opuszczał swój kryjówki i dopiero gdy szlachta sądząc, iż zginął, zabierała się do obioru nowego monarchy, wyruszył z Czorsztyna.

W r. 1246<sup>o</sup> dzierzył ten zamek Piotr Wydźga, herbu Janina; podanie niesie, iż miał około Łącka na pograniczu węgierskiem kopalnie złota. Wielkie swe skarby oddał Krzyżakom i sam do ich zakonu wstąpił.

W XIV wieku Kazimierz Wielki powiększył Czorsztyn i mocniej go obwarował. W tych czasach królowie polscy często około tego zamku przejeżdżali gościńcem wiodącym do Węgier. I tak: Kazimierz W. jechał tędy do Wyszehradu, dla ustanowienia po sobie następcy na tron polski w osobie Ludwika węgierskiego; a następnie do Budy w r. 1369, aby z królem węgierskim zawrzeć przymierze przeciw Karolowi, cesarzowi niemieckiemu. W r. 1370 przejeżdżał znów około Czorsztyna Ludwik węgierski, dla objęcia tronu polskiego. Wreszcie i Jadwiga tą samą drogą przybyła do Polski w r. 1384.

Czorsztyn przeszedł na własność sławnego Zawiszy Czarnego, który był mianowany pierwszym starostą spiskim, po wzięciu Spiża w zastaw przez Jagiełłę od Zygmunta, cesarza niemieckiego i węgierskiego króla. W tym czasie zamek opanowany został przez bandy zbójckie, na których czele stali dwaj banicy szlacheckiego rodu, skazani na wygnanie za morderstwo. Niedługo jednak rabusie utrzymać się zdołali w Czorsztynie, który zdobyty był przez wojska królewskie w r. 1402.

Król Władysław Jagiełło gościł po kilkakrotnie w Czorsztynie w przejeździe do Węgier na zjazdy z cesarzem Zygmuntem, który pod pozorem przyjaźni wicherzył w Polsce, podburzał przeciw niej Krzyżaków, Witolda różnił z Jagiełłą i intrygował, aby Litwę od Polski oderwać. W r. 1423 Jagiełło spotkał się z cesarzem w Sromowcach, a ztamtąd razem udali się do Keszmarku na spisanie traktatu. W r. 1424 cesarz tąż samą drogą udawał się do Krakowa na koronację królowej Zofii. W tymże samym roku Zawisza Czarny, pan na Czorsztynie, odprawił swoje gody weselne w tym zamku i króla polskiego na nie zaprosił.

Po bohaterskiej śmierci Zawiszy znowu Czorsztyn na lat parę opanowały jakieś zbójckie bandy. Potem aż do końca ze-

szłego wieku siedzieli na zamku Czorsztyńskim różni starostowie.

Władysław Warnieńczyk, jadąc w r. 1440 ze świetnym orszakiem na objęcie tronu węgierskiego, zatrzymywał się w Czorsztynie i tu się zęgnął z matką Zofią i bratem Kazimierzem; nie powrócił też więcej do ojczyzny.

W czasie wojen kozackich, niejaki Napierski, stronnik Chmielnickiego, przybywszy w te strony dla buntowania ludu, podstępem opanował Czorsztyn, lecz schwytany przez milicją i odwieziony do Krakowa, na śmierć skazany został.

Marszałek koronny, Jerzy Lubomirski, przyjmował w Czorsztynie w r. 1655 króla Jana Kazimierza, uchodzącego do Węgier przed Szwedami. Za Augusta II, w czasie wojny domowej między stronnikami Sasa i Leszczyńskiego, ziemia spiska była widownią łupieztwa i zniszczenia. W czasie lustracji, czyli rewizyi starostw w r. 1765, pisano o Czorsztynie: „Zamek czorsztyński dosyć obszerny, lecz dużo spustoszały, na którego naprawę znacznego nakładu trzeba, na który starosta wystarczyć nie może; a szkodaby była, iżby tak kosztowny, pograniczny i obronny zamek miał do ostatniego przyjść upadku.“ W r. 1790 zamek zgorzał od pioruna i już nigdy się nie podniósł. Ostatnim starostą czorsztyńskim był Józef Potocki, po śmierci jego dobra te przeszły do skarbu rządowego, a w r. 1811 Czorsztyn sprzedany był rodzinie Drohojowskich, w których ręku dotąd pozostaje.

## Bajki, a nie bajki.

(Gawęda o Ignacym Krasickim).

(Dalszy ciąg).

— Eh, ja myślałam, że nam opowiesz, co pisał ten Krasicki i przeczytasz jaką bajkę—ozwała się Basia—a tu on już umarł, a ja nie wiem o tych bajkach,

— Jakkolwiek już umarł, nie to nie przeszkadza, ażebyśmy nie mogli wspomnieć o jego pracach. Bajki bowiem Krasickiego i wszystkie jego pisma żyją i żyć będą—bardzo długo, jak w ogóle to, co ma prawdziwą i rzeczywistą wartość.

— Wiesz co, Adasiu, ja tylko tego nie mogę pojąć—rzekł Oles—jak takiemu mądrymu człowiekowi chciało się pisać bajki?

— A czy wiesz, Olesiu, że ja znów dziwię się, jak taki duży chłopiec, co lubi czytać i nie mało się już uczy, może z takim lekceważeniem o bajkach się wyrażać.

— A tak—przerwała Basia—boś ty nam już mówił, że w każdej bajce jest zawsze prawda. Ale żebyś nam jaką bajkę powiedział i poszukał téj prawdy, bo ja sama znaleźć jęj nigdy nie umiem.

— Z ochotą, moja siostrzyczko, a nawet upewniam cię, że sama łatwo ją wynajdziesz, gdy się tylko cośkolwiek zastanowisz; oto na przykład bajka pod tytułem: *Wróbel*.

Wróbel pstry, iż był jeden pomiędzy szaremi,

Ledwo się tykał ziemi,

Tak był zhardział, rozumiał bowiem, iż nad niego

Piękniejszego,

Natura wydać nie zdoła,

Nie tylko wróbla, ale i sokoła.

Gdy więc wszystkimi gardził, rzekł mu [jeden z szpaków:

Kto jest pierwszym wśród wróblów, nie [jest pierwszym z ptaków.

— Oh, to bardzo łatwo odgadnąć—rzekła Basia—bo w téj bajce Krasicki przymawia tym wszystkim, co chcą się wynosić nad innych. Ten pstry wróbel, to człowiek, co chwali się ze swoich talentów, a chociaż może jest mędrszy od tych, pomiędzy którymi żyje, to przecież na świecie dużo jest rozumniejszych od niego. Słowem, że nikt nie powinien wynosić się nad innych i być zarozumiałym.

— Widzisz, jakeś to doskonale zrozumiała, tak więc jak w téj, tak i w każdej innéj bajce jest zawsze ukryta myśl głębsza, którą autor pragnie wpłynąć na społeczeństwo.

— Ej, co mi tam, takie ciągle nauki—ozwał się Oles.—Mów tam sobie co chcesz, mój Adasiu, ale mnie wcale nie nęca wszelkie morały.

— Zapewne, morały to wcale rzecz nie przyjemna, każdy wie o tém i wiedział doskonale Krasicki. To też gdyby był prawil te morały wprost, jako nauki i kazania, byliby go znali tylko ci, co pragnąc dojść do doskonałości, szukają owych rozumnych ksiąg, które im ku temu wskazują drogę; że zaś wypowiada prawdę pod postacią zręcznéj bajki, wprowadzając do niej zwierzęta, rozmawiające dowcipnie, tym sposobem zna go każdy, co czytać umie; a tak bawiąc, uczy zarazem. W czasie zaś, w którym pisał Krasicki, to jest w drugiéj połowie XVIII wieku, społeczeństwo nasze miało wiele wad, które popychały kraj do upadku. Było dużo pyszałstwa i samolubstwa, wielu, dla przypochlebiania się i otrzymania urzędu, zapominało o własnéj godności, a często nawet sprzedawano własnych współbraci, lub też szafowano powierzonym groszem, byleby tylko dla siebie jak najwięcej osiągnąć korzyści. Wady te były wielkie i przynosiły nieszczęście krajowi. Krasicki zaś, widząc to wszystko, pragnął wszelkimi sposobami wpłynąć na ich wykozerzenie i przyznać to trzeba, że poznawszy doskonale umysł i serce ludzkie, wybornie mu się udawało. Na przykład jaką to doskonałą dał nauczkę tym wszystkim, co udając, że pomagają, zdradliwie szkodzą, w bajce pod tytułem: *Czapla, ryby i rak*.<sup>1)</sup>

— Ach prawda—zawołał Oles—ta czapla, to ludzie, co z cudzéj biedy i nieszczęścia zawsze chcą korzystać; ryby, to ci, co nie umiają sobie sami radzić, zbyt nie ufają potajemnym doradzcom, rak nareszcie, to ci, co chociaż późno spostrzegli się i ukarali zdrającą.

— Doskonale, mój braciszku! widzisz więc, że sami umiecie dopatrywać téj myśli, którą Krasicki podał nam w postaci bajek.

— A czy to także bajka Krasickiego: *Wóz*

<sup>1)</sup> Bajka ta drukowana była w Nrze 11 *Wieczorów Rodzinych*.

z sianem. Posłuchajno, Adasiu.—I Oleś nie czekając odpowiedzi, mówił:

Przy powrozie,

Na mrozie,

Wielki ciężar konie wlekły,

Więc sobie rzekły:

Aby naszą pracę skrócić,

Starajmy się wóz wywrócić.

I tak się stało:

Siano się w wodzie zmaczało.

Ale czego nie dociekły,

Cięższe, bo zmokłe, do domu przywle-  
[kły.

A nim wyszło, bywszy w wodzie,

Pracowały trzy dni w głodzie.

— Tak, mój Olesiu — rzekł Adam — ta bajka także Krasickiego, a chyba nie potrzeba wam jęj tłómaczyć?

— Rozumie się, przecież to jasne, jak na dłoni — rzekł Oleś — konie, to są ci, co biorą się do roboty, byle jak, a uważając, że praca dla nich zbyt ciężka i nudna, nietylko jęj nie kończą, lecz psują niedbalstwem, a nie otrzymawszy korzyści z popsutej pracy, tracą wszelki zarobek, potem zaś, chcąc cośkolwiek zyskać, muszą pozbawić się przyjemności i z większym jeszcze trudem pracować.

— Aha, prawda; to tak samo — rzecze Basia — jak ja, kiedy co piszę, to mi się nie chce od razu dobrze napisać, tylko aby prędkiej, a potem, nic nie pomoże, muszę przepisać i jeszcze mi trudniej, bo jak niewyraźnie napiszę, to mi dwa razy tyle czasu zabierze przepisywanie, a prócz tego czas, co mam przeznaczony na zabawę, muszę obrócić na pracę. Doprawdy, to paradne i ja jestem czasami jak te konie, co pracowały o głodzie, bom głodna zabawy i chociaż mi dusza piszczy do zabawy, muszę się bez nięj obejść, jak one bez siana, które przewróciły.

— Widzisz, Basiu — rzekł Adam z uśmiechem — jakto, zastanowiwszy się, w każdej bajce znajdzie się nauka. Nauki zaś te są w ogóle dla wszystkich, co częstokroć własną opieszałością, uporem i niechętnym wypełnieniem swoich obowiązków, przysporzą nietylko sobie, ale i wielu innym troski, kłopotu i pracy. A gdybym wam tak poszcze-

góle każdą bajkę Krasickiego zaczął tłómaczyć, przegawędzilibyśmy dni niemało; bo w każdej bajce jest inna nauka. A cóż dopiero mówić o satyrach, które jeszcze więcej uwydatniają prawdziwy dowcip autora i doskonałą znajomość serc ludzkich.

— Powiedz mi, Adasiu, co to znaczy właściwie satyra — pytał Oleś, bo ja to już bardzo wiele razy słyszę ten wyraz, a nawet czytałem jakąś satyrę, a naprawdę nie wiem, co to znaczy?

— Jeżeli czytałeś jakąś satyrę, zauważyłeś zapewne, że w nięj poeta żartuje z jakiejś wady szkodliwej dla tego, który ją ma, lub też dla społeczeństwa, wśród którego żyje, przedstawiając zarazem smutny skutek wad tych, lub złych nawyknień i nałogów. Masz więc już tém samém bardzo łatwe wytłómaczenie, że satyra jest to obraz życia społeczeństwa, przedstawionego z jego śmiesznej strony. W takiej satyrze autor zwykle zwraca uwagę na najwybitniejsze wady i nawyknięcia ludzi, wśród których żyje, tak jak oto Krasicki w satyrach swoich żartuje z gwałtownej chęci zbytecznego wyniesienia się, dążenia do wysokich urzędów, pyszałstwa, pogardy rzeczy swoich, a sprowadzania cudzoziemskich, jak również karci pochlebstwo, rozrzutność, marnotrawstwo, skąpstwo i wiele innych wad, które upatrzył wśród otaczających go ludzi. A trzeba wam wiedzieć, że te satyry, pisane piękną polszczyzną, najpierwsze trzymają miejsce między utworami biskupa-poety. Są to jakby zwierciadła, w których każdy może się przejrzeć dokładnie i spostrzedz swoje ułomności i wady.

— Aha, to po przeczytaniu takiej satyry, każdy się stara poprawić, zupełnie tak samo, jak kiedy kto przejrzy się w lustrze i zobaczy krzywo włożony kołnierzyk, lub rozczochrane włosy, to zaraz je pogładzi — szczebiotała Basia.

— Zabawna jesteś — rozśmiał się Oleś — tobie się zdaje, że to tak łatwo poprawić się z jakiej wady, jak przycesać włosy.

— Zapewne — rzekł brat starszy poważnie — łatwiej przygładzić włosy, aniżeli wykorzenić wadę. A jednak, wierzaj mi, gdybyś zaniedbał codziennego czesania włosów,

stałyby się one szorstkie i twarde, a jednocześnie czesanie zaledwieby je trochę przygładziło, gdy tymczasem codzienne czesanie doprowadza je do ładu i porządku, a pierwsze lepsze musnięcie ręką przywraca im gładkość. Toż samo dzieje się z wadami, jeżeli przypatrzysz się im powoli, systematycznie, staramy się je wykorzenić i codziennie nad ich przełamaniem pracujemy, to pierwsze lepsze przypomnienie sobie naszych obowiązków pokona odrazu wadę lub przywarę i zwróci na właściwą drogę.

(d. n.)

## DWIE DZIEWCZYNKI.

### DYALOG W DWÓCH CZĘŚCIACH.

MELANKA, córka bogatego bankiera z Warszawy.

ZOŚKA, córka ubogiego ogrodnika.

*Rzecz dzieje się w wiejskim sadzie, na leśnym mieszkaniu.*

#### CZĘŚĆ I-a.

MELANKA

(wchodzi, z prześlicznie ubraną lalką na ręku i rozglądając się dokoła, mówi):

Tu coś kole, tam parzy—tu żaby, tam trawa...

Gdzie tu usiąść?... (do lalki) Lidyol gdzie nasza Warszawa?...

Przebrzydły ten pan doktor kazał, żeby tato

Wysłał mię z mamą na wieś na calutkie lato!...

Co ja tu robić będę?... Ja się tu zadrzęczę! Niema z kim w piłkę zagrać, skakać przez obręcze,

Bo na wsi niema ludzi, tylko są wieśniacy, Co ciągle siedzą w polu dla jakiegś tam pracy!

Dzieci ich takie brudne, rozczochrane, bose, Szkaradnel... To też wszędzie lalkę z sobą niosę,

Żeby sobie przypomnieć, kiedy spojrzę na nią,

Że, jak Miss Klara mówi, jestem wielką panią,

Że, jak Miss Klara mówi, muszę być ostrożną,

Bo z byle kim się przecież zadawać nie można!

(Przechodzi ku prawej stronie; w tej chwili głębią wchodzi Zośka z wiśniami w koszyczku, staje opodal zapatrzona w lalkę, którą Melanka podnosi w górę, przypatrując jej się z zachwyceniem).

Śliczna jesteś Lidyol... Jakie ty masz oczy!... Co za uśmiech czarownicy... jaką moc warokczył!

Zazdroszczę ci téj sukni, tego kapelusza!

(Po chwili).

Ty jesteś jak Miss Klara, nic cię nie porusza...

I tego ci zazdroszczę!... Nie umiem być jeszcze

Przyzwoitą!... Gdy tatę albo mamę pieścisz,

Zapominam o sukni, o wszystkiém na świecie!...

To też wszystko się na mnie pokręci, pogniecie,

Dopiero gdy Miss Klara ze zgrozą zawoła: Shoking!... (szokiń) odrzucam szybko te

kędziory z czoła,

Otrzepuję sukienkę i daję Miss słowo, Że się już nie zapomnę!... (kołysze lalkę).

ZOŚKA

(ze złożonemi rękoma do lalki):

Moja ty królowo,

Wyglądasz jak ołtarzyk!... (po chwili wciąż na boku).

Nie chodzi... nie gada

Istna tyka od chmielul!... (zbliżając się do Melanki mówi):

Jaka tamta blada!

MELANKA

(spozstrzegłszy Zośkę, z przerażeniem odskakuje).

Achl... jakżem się przelękał!...

ZOŚKA

(żywo przyskakując).

Może panna chora?

Może głodna? (podając jej koszyk z wiśniami).

Masz wiśnie... (Nie zważając na to,  
że Melanka wisien nie bierze).

Tam nasza obora,  
Skoczę po mleko, matus doda skibkę chleba,  
W mig wszyściutko przyniosę!... (Chce  
odejść, ale ją ruch Melanki zatrzymuje).

MELANKA (wzgardliwie).

Nie trzeba, nie trzeba!...

Ja—pijam czekoladę.

(Zośka usiłuje wsunąć jej w ręce koszyczek,  
Melanka usuwa się).

Jakażes ty nudna,

Posmolisz mi sukienkę!... (opryskliwie).

Idź sobie, boś brudna! (odskakuje  
na bok).

ZOŚKA

(po chwili z prośbą).

Nie gniewaj się, pannusiu, ja ci nic nie zro-  
bię! (coraz żywiej).

Pójdź do lasu!... Jagódek nazbieramy sobie,  
Pokażę ci w gniazdeczku wylęglę ptaszęta  
I nasze gospodarstwo... (coraz żywiej) Mam  
młode kurczęta,

Krówkę z małym cielaczkiem, dwa gołą-  
bki białe...

(widząc ruch pogardliwy Melanki).

Nie chcesz biegać?... (przypatrzwszy jej się  
mówi z politowaniem)

Nie możesz!... masz nóżki za małe...

(po chwili, coraz żywiej).

Ale tutaj tak nudno, a tam tak wesoło!...  
Kwiecia w bród!... leśnych malin pełno,  
pełno w koło!

A co kłósów na polu! co dziewcząt użniwa...  
(chwytając żywo Melankę).

Pójdź, panienko!...

MELANKA

(odpycha ją i uciekając mówi):

Nie pójdę!...

ZOŚKA (niezadowolona).

Jaka niecierpliwa!...

(Po chwili namysłu).

Pewno chora, jak matka! O Boże, mój Boże!  
Matus mówią, że tamtéj nic już nie pomoże...  
Trzy paciorki odmówię, prosząc Boga o to,  
Żeby bladéj panienki nie robił sierotą!...  
(wychodzi głębia).

(Między pierwszą a drugą częścią upływa tydzień).

## CZĘŚĆ II-ga.

MELANKA

(wchodzi, mówiąc do lalki i nie spostrzega Zośki,  
która z chabrową koroną stoi w głębi).

Lidyo!... Doktor mówił wczoraj wieczór  
tatce,

Że śmierć grozi méj matce!... (Jakgdyby  
przeżrana swemi słowami).

Śmierć grozi méj matce!...

(Po chwili ze smutkiem do lalki).

Czy ty słyszysz, Lidyo, matka mi umiera...  
(z niechęcią).

Nie śmieje się... twój uśmiech serce mi  
rozdiera...

(z coraz większą niechęcią wpatrując się w lalkę,  
mówi):

Śmieje się, wciąż się śmieje... biała i ru-  
miana,

Zblednąć nawet nie umiel...

(po chwili z prośbą)

Lidyo kochana!...

Zapłac raz, zapłac ze mną!...

(wskazując dokoła, mówi rzewnie):

Patrż! nawet te kwiatki

Pochylają się ku mnie, żałując méj matki!...  
Ptaszki nawet umilkły!... Z drzew lecą  
kropelki,

One płaczą nademną!...

ZOŚKA (załamując ręce).

Boże! Boże wielki,

Zmiłujże się!

MELANKA

(do lalki, potrząsając nią).

Lidyo!... (słodko) Nie, nie, jestem  
pewna,

Że zapłaczesz! (bacznie się w nią wpatrując,  
mówi z gniewem):

Śmiesz się!

(w uniesieniu rzuca lalkę w bok).

Nędzne cacko z drewna,

Piękne, ale bez serca... Precz idź, precz  
odemnie!...

(z zalem):

Tego tylko chcę kochać, kto kocha wzaje-  
mnie!...

(coraz rzewniej):

Przemówię do tych kwiatków, do mego  
anioła,

Do Boga.. (zwracając się do Zośki) Gdzie tu kościół?

ZOŚKA

(przysuwając się do Melanki).

Nie trzeba kościoła!

Matusz uczą, że Pan Bóg

[zewsząd ludzi słyszy...

Pobiegniemy do boru, tam,

[śród leśnej ciszy,

Mamy Matkę Najświętszą

[z dzieciątkiem u łona,

Pomodlimy się do niej...

[Ta z chabru korona

Starczy nam za ofiarę.

[Ukłonimy obie

I boskie miłosierdzie u-

[prosimy sobie.

(nieśmiało).

Pójdiesz ze mną, panien-

[ko?...

MELANKA

(zarzucając jej ręce na szyję).

Pójdę, siostrzo droga!

Prowadź mię, bo ty mu-

[sisz mieć łaskę u Boga.

Pragnę być jak ty dobrą.

[Serce, to rzecz główna;

Bóg potęgą miłości wszy-

[stkich ludzi równa!

Natalia Sokołowska.

KONIEC.

## Medalik z roku 1768.

POWIEŚĆ

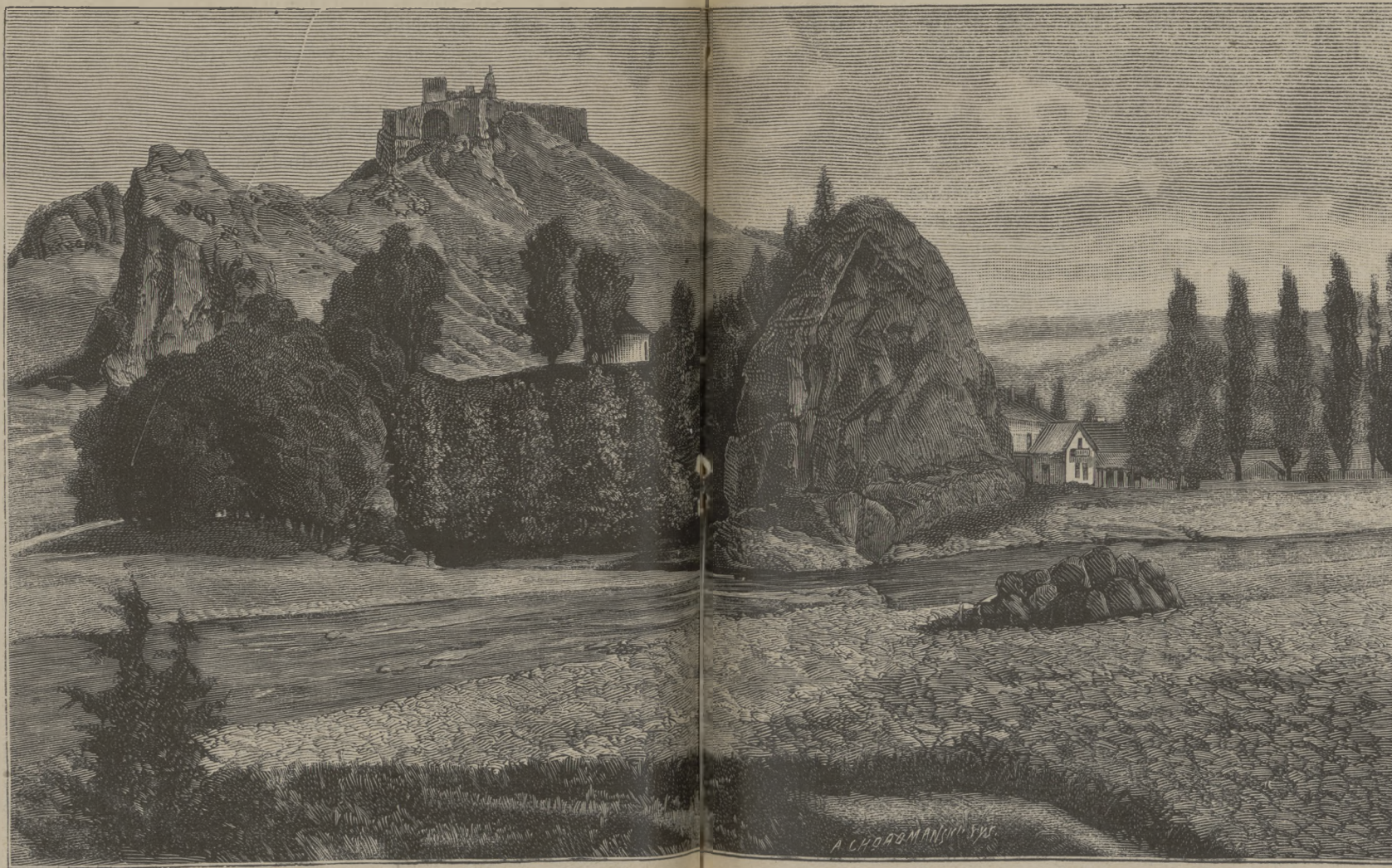
przez Z. MORAWSKĄ.

(Dalszy ciąg).

Na drugi dzień, nietylko dziewczynki, jak to sobie projektowały, lecz ciocia i ojciec

poszli do kościoła. Pan Lesiński starym obyczajem chciał, ażeby córka jego, po powrocie do domu, zaczęła nowe obowiązki od polecenia się Bogu, aby odwiedziła grób matki, prosząc jej o błogosławieństwo i czuwanie nad nią z lepszego świata.

Po skończonej Mszy Ś-tój rodzina cała, wyszedłszy z kościoła, ukłękła przy białym grobowcu, po krótkiej modlitwie pan Lesiński poszedł do księdza proboszcza zaprosić go do siebie na obiad, Ludwinia zaś klęczała długo z pochyloną głową, jakby modli-



Czorsztyn. Rysunek malny A. Choromańskiego.

twą chciała przywołać ducha matki, pozyskać jej wejrzenie na siebie i pomoc w życiu. Duszyczka jej połączyła się z matką rzewną modlitwą, a wszyscy uszanowali to sam na sam dorastającej córki ze zmarłą rodzicielką i oddalili się cokolwiek.

Pani Roblicka rozmawiała z Magdusią, wypytując się o jej matkę, o której dzieczę tylko tyle umiało powiedzieć, że umarła i wcale jej nie pamięta. Ze łzaw w oku wspomniła tę, o której nigdy nic nie słyszała, a którą jej zastępowała pani Nonon.

— Grzegorz—rzecz Józia—czy czekacie na księdza proboszcza?

— O nie, panienko, ksiądz proboszcz już poszedł przez zakrystyą do siebie i dziedzic tam za nim podążył.

— I my pójdziemy tam za ojcem, tylko Ludka skończy się modlić — odparła dziewczynka.

— Kochana pannoczka

Ludwika tak wyrosła, a jak

się modli serdecznie, niech

jej Pan Bóg ześle wszystkie

pociechy, ona taka dobra!

A ta druga pannusia co z pa-

nią rozmawia, czy to z na-

szą pannoczką przyjechała?

— Tak, Grzegorz, to

jest przyjaciółka Ludki, ona

mię będzie uczyć i bawić

się ze mną.—Przez cały czas

rozmowy Grzegorz przypa-

trywał się bardzo pilnie Ma-

gdusi, westchnął, wstrząsnął

głową i rękawem potarł po

otwartem oku, Ludka skoń-

czyła nareszcie modlitwę i

z rozjaśnioną twarzą zerkną

powstała, a połączywszy się

z ciocią i Magdusią powita-

ła Grzegorza.

— Jak się macie, Grze-

gorzu.

— Do usług pannusi,

zdrów jestem, bo Pan Bóg

daje ciepło i słońce, to i

rany nie dolegają.—A pan-

noczka nasza tak wyrosła

ładnie! ale już teraz na za-

wsze do nas przyjechała?

— O tak, na zawsze, już ni-

gdy ztąd nie odjadę. Ale mu-

sicie Grzegorz, przychodzić

nam często opowiadać, jak

to wy nazywacie „skazki.“

— Żebyś ty wiedziała, Magdusiu—rzecz odwracając się do towarzyszki—jakie Grzegorz piękne rzeczy umie opowiadać o Podolu, Ukrainie, o wojnie, a nawet śliczne śpiewa dumki.—Nieprawdaż, przyjdziecie do nas, Grzegorz?

Józia z nastrojoną poważną minką nie szczebiotała, lecz wiązała jakąś zerwaną trawkę i rozmawiała z Grzegorzem, dziadkiem kościelnym, kaleką, bez nogi, z zamkniętym okiem i ogromną szramą na twarzy.



— O przyjdę, pannoczko kochana, i opowiem nie jedno, jak tylko posłuchać zechcecie.— To mówiąc popatrzał znów na Magdusię, westchnął i pokiwał głową, a dziewczynki z cicią poszły na plebanią przywitać księdza proboszcza. Bawiły tam dosyć długo, a kiedy wracały, Grzegorz stał jeszcze w tém samym miejscu, dziwnie jakiś zasmucony, a i pan Lesiński przechodząc zapytał:

— Co to, Grzegorz, tak stoicie ze zwieszoną głową, czy wam się co złego stało, czy niedomagacie?

— Bóg zapłać wam, panoczku, za dobre słowa, cóżby mię już mogło za nieszcześnie spotkać, toćże z łaski waszjej mam wszystko, co mi potrzeba. Ot, tak tylko ja stanął i zamyslił się i chciał poczekać aż państwo wyjdą, żeby się raz jeszcze pannoczkom przypatrzeć.

— A cóż nam się tak przypatrujecie— rzecze Ludka—tamtęj panienki jeszcze nie znacie, a ja, czy się tak odmieniłam?

— Tak, prawda, ja tamtęj pannoczki nie znam—odrzekł przeciągle, a wy tylkoście urosli, ale zawszeście jednako dobrzy dla starego Grzegorza.— To mówiąc, skłonił się wszystkim i odszedł powoli, oglądając się jednakże co chwila.

— Moja Luciu, czemu ten dziadek tak przeciąga—za pytała Magdusia—on zupełnie inaczej mówi, jak wszyscy tutejsi wieśniacy, ale to tak ładnie, jak on mówi.

— Bo też on nie tutejszy, Magdusiu, pochodzi on podobno z dalekich okolic. Jest to żołnierz, rodem z Ukrainy, za młodu służył pod Napoleonem, potem znów jeszcze wojował, ale od lat kilku osiadł u nas, mówiąc, że niema pogo do swoich powracać, bo po czternastu latach tułactwa nikogo ze swoich nie zastał, a że właśnie umarł dziadek kościelny, on zajął jego miejsce.

— To on z Ukrainy? jak ja się też cieszę z tego!

— Czy znasz kogo, Magdusiu, na Ukrainie?

— Nikogo, ale nie wiem dla czego, moja Luciu, tamte strony mają jakiś niewypowiedziany dla mnie urok.

— To cię jeszcze więcej tamte strony za-

ciekawią, jak posłyszysz opowiadanie Grzegorza.

— A żeby p. Magdalena wiedziała, jakie Grzegorz czasem śpiewa przesliczne pieśni i dumki—zaszczebotała Józia.

— Rzeczywiście, ma on szczególniejszy dar opowiadania, a pieśni jego są niesłychanie rzewne—ozwał się p. Lesiński—to też Ludka już zamówiła go do opowiadania.

Rozmawiając doszli do domu, a następnie każdy do swego zajęcia.

Pan Lesiński pojechał w pole, ciocia wzięła Ludkę, a żeby ją oprowadzić i wskazać, czém ma się zajmować. Magdusia wzięła Józję, z którą już się zaprzyjaźniwszy, rozpoczęła lekye. I od pierwszego dnia urządzone sobie życie pracowicie i przyjemnie. W Lesinie zwykle wszyscy wstawali rano, Ludwinia biegła do ogrodu zobaczyć kwiatki, rozpytała ogrodnika o jego zajęcia; Magdusia jęj towarzyszyła w tych rannych przechadzkach. Józia zaraz przybiegała do nich, a o ósmej wszyscy schodzili się na śniadanie, które Ludka sama rozdawała; a pan Lesiński utrzymywał, że mu daleko lepiej smakuje kawa przyrządzana przez ukochaną córeczkę.

Po śniadaniu, Ludka szła z cicią do gospodarstwa, a więc wydawała na obiad. Rozpytywała się gospodyni o ilość drobiu, jaj, mleka, masła i serów, a ułatwiwszy się ze wszystkiém, około 11-tęj wracała, aby się ubrać do obiadu, który w Lesinie bywał o 12-ęj. Ciocia z początku jęj towarzyszyła, a potem rzekła:

— Ludka tak prędko skorzystała z moich nauk, że wkrótce przejdzie swoją nauczycielkę. Zdaleka więc tylko przypatrywała się z rozkoszą dziewczęciu i od czasu do czasu robiła swoje uwagi.

Przez ten czas Magdusia zajmowała się Józją, a lekye swe tak umiała urozmaicić, że kiedy czasem wszedł do ich pokoju pan Lesiński, to z przyjemnością przysłuchiwał się, jak młoda dziewczyna jasno i przystępnie tłumaczyła zapytania dziecka, i zwykle potem mówił do pani Roblickiej:—Doprawdy, pani Nonon będzie miała pociechę ze swojej wychowanki; to takie młode, a już tak

umie uczyć Józję, jakby była naprawdę skończoną nauczycielką.

— A jakie to ciche, łagodne dziewczątko—odpowiadała ciotka—wszyscy ją tutaj już pokochali.

Po obiedzie zwykle Ludka i Magdusia były razem, grywały na cztery ręce, czytały, lub zabrawszy Józję biegły do poblizkiego lasu.

Młode nasze przyjaciółki w przechadzkach swoich wstępowały do chat wiejskich, rozpytywały się, czy komu czego nie brakuje, czy kto nie chory, nosiły leki i posiłek. Wieś ze dworem starym obyczajem w patryarchalnym była stosunku. Ludka od dziecka przyzwyczajona do serdecznego z ludem obejścia, zaniedbała go przez czas pobytu na pensyi, teraz więc chciała stosunek ten na nowo zawiązać, co przy jej wródczonej dobroci i miłém obejściu było nader łatwém. Dla Magdusi zaś gawędki te i odwiedziny były najwyższą przyjemnością. Razu jednego, kiedy wracały z takiej przechadzki, Magdusia rzekła do swjej przyjaciółki:

— Jakaś ty szczęśliwa, Ludko, że mieszkasz na wsi, jakie tu życie zupełnie inne niż w mieście. Słusznie powiedziano, że Bóg stworzył wieś, a człowiek zbudował miasto. Bo na wsi wszystko nam mówi o Stwórcy; patrząc na to, co nas otacza, widzimy wielkość Jego i Opatrzność.

— O tak, moja Magdusiu, ja czuję się bardzo szczęśliwą. Ojciec jest taki dobry, kocha mię, uczy jak żyć i być pożyteczną.

— To prawda, moja Ludko, że na wsi można urządzić sobie życie bardzo pożytecznie. W mieście to nawet nie wiem, czém się zajmują panienki dzień cały? Bo przecież ciągle zabawy znudzą i uprzykrzą się. Zapewne i w mieście panienki muszą mieć jakieś zajęcie, ale to nie takie jak twoje, Ludwiniu. Ale wiesz, co ja ci powiem, że od czasu, jak jestem na wsi i słyszę tę prostą mowę wieśniaków, to mi się zdaje, że jakieś wspomnienie odzywa się w mojej duszy. Moja Luciu jedyna, chyba twoja Magdusia musi być dziecięciem ludu... Pani Nonon nigdy mi nie mówiła, zkąd mię wzięła; nie mówi mi nigdy o moich rodzicach, a ile razy jej zapytam, zawsze mi odpowiada: „Moje

pocziwe dziecko, ja o nich nic nie wiem, wiem tylko, że jesteś sierotą; uważaj mię za matkę swoję.“

— Zkądżeż więc przychodzą ci te myśli, moja Magdusiu, że rodzice twoi byli wieśniakami? Rozumiem, że byłabyś bardzo szczęśliwą, gdybyś miała rodziców, albo przynajmniej wiedziała coś o nich; lecz jeżeli nie żyją, cóż robić? wszak i ja nie mam matki. Modlisz się za nich, a Bóg ci wynagrodził, dając w pani Nonon taką zanną opiekunkę, ona nauczyła cię pracować i wkrótce będziesz mogła zarobić na swoje utrzymanie, a przytém na miłość i szacunek ludzi.

(d. c. n.)

## MĘCZENNICZY.

OPOWIADANIE HISTORYCZNE

przez

Paulinę Krakowową.

Nad Sandomierzem poranek płynie—  
Ale tak cicho, tak głucho wszędzie,  
Że w całym mieście, w całej krainie  
Z żadnej się piersi głos nie dobędzie.  
Tak głucho w mieście w porannej chwili,  
Że ci, co bramy zamkowej strzegą,  
Mogliby słyszeć szelest motyli  
I liczyć bicie serca własnego.  
Jeden głos tylko, jeden ślad ludzi,  
Dzwonek kościelny milczenie budzi.

Władysław Syrokomla.

Huż Mucu! Huż! k'sobiel!—wołał jasnowłose, rumiany chłopak, zganiając wesoło trzódkę owieczek, rozproszonych po łące i widocznie nieposłusznych staremu pastuchowi. Ten, wsparty na kij, głosem silnym jeszcze wskazywał służbę szaremu, kudłatemu psu owczarskiemu, nie bardzo ufając starym nogom, by za komendą własnego pana podążyć zdołały. Chłopak i pies uwijali się tymczasem ochoczo i skutecznie, bo niebawem becząca gromadka, w gęstą kupkę zbita, opuszczała zieloną łąkę, na któ-

rój przez dzień cały skubała tymianek i koniczynę i wchodziła na drogę, zagłębiając się pomiędzy wzgórze, ponad któremi wznosił się starożytny Sandomierz.

Młodzińczyk, tak czynnie pomagający dopiero staremu owczarzowi, wrócił na łąkę, obejrzał się dokoła i pośpieszył pod rozłożystą gruszę, stojącą na skraju. Tam na kamieniu siedział średniego wieku mężczyzna, czarną zakonną szatą odziany, o bladéj twarzy, ze smutnym i łagodnym uśmiechem.

— Tęskno ci za pastuszym stanem?—zapytał wracającego chłopaka.

— Nie, mój ojczu! wcale nie!—odpowiedział—ale żal mi było patrzeć na starego Bartucha, co już sobie wcale ze swojemi baranami rady dać nie może, a chciało mi się i Muca napędzić, co też już pana swojego nie słucha.

— Nie usprawiedliwiaj się, chłopcze, nie dziwiłbym się ani trochę, gdyby cię serce ciągnęło do ludzi, a choćby do zwierząt, życie swoje i wesele głośno okazujących, bo młodemu, jak ty, nie może wystarczyć to snucie się po klasztornych ścianach, pełnych milczenia i modlitwy, nie zawsze dla ciebie zrozumiałej.

Zadumał się chłopak, a po chwili przyklęknął przy kamieniu i patrząc w twarz mówiącego, odpowiedział:

— Nie chcę kłamać, boście mi tego zakazali, więc powiem, że czasem, jak ojcowie są w chórze, lub się po celach rozejdą, jak się wy u siebie zamkniecie i niema do kogo przemówić, to mi tak jakoś, jakbym był sam jeden na świecie, chodzę od Brysia do Marucha, bo ze starym Jackiem, to się ani raz porozumieć nie mogę. Ale za to, jak się tylko do biblioteki drzwi otworzą i mogę się tam wsunąć, a księgi zobaczyć, jak mogę mięciuchną wierzbową gałązką pył z nich obmiatać i czasem otworzyć którą, a zajrzeć do niej, tobym i owieczek i znajomych dawniej pastuszków, może nawet braci, gdybym ich miał, odstąpił, tak mi dobrze i wesoło.

— Dziwna to!—odrzekł siedzący—przecież czytać jeszcze dobrze nie umiesz.

— Nie umiem, ale będę umiał, jeśli mnie

od siebie nie odegnacie ojczu. Tymczasem patrzę na malowania i zakręty z kwiatami, ptaszkami i koronami i przypominam sobie, coście mi o nich powiadali, a powtarzając to sobie, zdaje mi się, że czytam piękne modlitwy i opowieści, co się tam mieszczą.

— Przy takiej ochocie i zdolności, jaką okazujesz, może skoro Pan Bóg pozwoli zastąpisz mnie z czasem i dorobisz, czego już ja nie zdołam—rzekł wstając bladej mężczyzna.

Chłopak poruszył z wolna głowę na znak wątpienia, potem zapytał:

— Czy umiejac, co wy umiecie, ojczu, będę musiał tak być strasznie smutnym, jak wy jesteście?

— Wcale nie; umiejętność i praca daje człowiekowi szczęście, a przynajmniej pociechę.

— A czegoż się tak trapiacie? Toć was ojcowie i bracia kochają i każdy w klasztorze radby pył zmiatać z waszej drogi, a wy rzadko do kogo przemówicie, rzadko podniesiecie oczy od ziemi, chyba na książki albo do nieba.

— Już mnie takim zostać do śmierci, mój Józwik!

— Ale co was tak gnębi? powiedzcie mi kiedy, mój dobry ojczu—prosił z przymileniem Józwik, a oczy jego, błyszczące łzą rozczulenia, dowodziły, jak szczerze radby widzieć weselszym towarzysza. Mówią przecież, że się w smutku wyplakać albo wygadać, to lżej na sercu. Ulżyjcież sobie, ojczu Brunonie.

— Nie zwij mnie tak! nie mam prawa do tego tytułu, ani do żadnego w klasztorze, ani na świecie—mówił Bruno mocniej jeszcze zasępiiony; jam skazaniec, wygnany z ludzkiego społeczeństwa. Ale co ci po téj wiadomości, nie zrozumiesz tego, dziecko.

— Zrozumiem mój.. ojczu mi przecie przez miłosierdzie jesteście; zrozumiem, nie jedno już przecię z waszych dawniejszych lat słyszałem, powiedzcie tyle, żebyśmy mogli mówić o waszym smutku, a może we dwóch wygadamy i spłaczemy wasze gorzyc!

— Serdeczne ty chłopię!—mówił rozrzuwiony Bruno, przyciskając do piersi wyro-

stka i powolnym krokiem poszli oba ku wiodniącemu na dalekim wzgórzu klasztorowi.

Jaka się utworzyła całość z dawnych wspomnień i obecnego dopełnienia, opowiemy w krótkości.

Za wysokimi progami przemożnego pana z Góry obchodzono uroczyste dwudziesty dzień urodzin najstarszego jego syna, na którego przyjście długie lata oczekiwał w małżeńskim stadle z przykładną i bogobojną panią Małgorzatą. Już na ich skroniach poczęły się srebrzyste nitki ukazywać, gdy im ta pociecha przybyła, nie więc dziwnego, że wszystkie pragnienia i nadzieje najświetniejszej przyszłości na téj małej główce złożyli rodzice, każde podług wyobrażenia swojego.

— Może będzie wielkim wojownikiem, lub królewskim kanclerzem?—myślał ojciec, patrząc na kolebkę syna.

— Może będzie świętym biskupem, lub uczonym benedyktynów opatem?—mówiła matka, tuląc do serca dziecinę.

A chociaż później temu pierworodnemu przybyli bracia i siostry nawet, życzenia i marzenia rodziców towarzyszyły mu jeszcze z równą siłą i wtedy, gdy po ukończeniu lat dwudziestu i odbyciu nauk pod kierunkiem domowego kapelana, wyprawiono go podług ówczesnego zwyczaju w świat, by się mu po pańskich i książęcych dworach przypatrył, a na wyższych szkołach przetarł i zdobył sobie może tytuł doktora, konieczny dla uzyskania duchownych godności.

Na zamkowym dziedzińcu wrzał gwar liczego zjazdu, po ogólnym południowym posiłku zbierał się przed progiem podróżny orszak młodego panicza, ulubionych sług kilku konno, parę koni jucznych z potrzebnymi przyborami, ognisty rumak dla panicza, mocny i spokojny muł dla jego nauczyciela, który na prośby rodziców zgodził się towarzyszyć wychowankowi swemu, by głównie obawy matki, trwożąc się o pobożność syna, uspokoić.

Całe zgromadzenie wytoczyło się przede drzwiami z życzeniami i uwagami; już młodzieniec klęcząc u nóg rodzicieli odebrał ze łzami wdzięczności tkliwe ich błogosławieństwo,

już ucałował ręce stryjów, ciotek, chrześtnych rodziców i przyjaciół domu, żegnających go z rozrzewnieniem i przystępował do czekającego nań niecierpliwie konia, gdy mu przyszło na myśl spojrzeć na podróżny swój tabor, a powiódłszy po wszyttkim badawczym wzrokiem, zawołał:

— A Brunek?

— Na cóżby w drogę?—pytał przemożny ojciec—przecież sfory z sobą nie będziesz wodził?

— Sfory nie, choć jeden Zagraj nie wadziłby wcale, ale co Brunek, to jechać musi koniecznie—odrzekł panicz.

Pan skinął i niebawem do ustawiającego się orszaku przyskoczył na zręcznym szpakowatym podjazdku młody chłopak w prostém brunatném odzieniu i z lekkim na głowie kołpaczkiem. Pojechali więc; gdzie i jak długo bawili, nie mam zamiaru opowiadać; młody Samuel z Góry podobał sobie po pańskich w Polsce i po książęcych za granicą dworach i podobał się na nich, bo nie tylko urodą i zręcznością w rycerskich ćwiczeniach, lecz wiadomościami i pięknym obyczajem celował nad przebywającą tam młodzieżą. Nie na jednym zamku chciano go na dłużej zatrzymać, lecz ksiądz Kleofas czuwał nad swoim wychowankiem i przypominał mu, że za mało jeszcze wie i umie, by się popisywać i że należało dopełnić tych umiejętności, aby rzeczywistą korzyść przynieść mogły, nie tylko jemu samemu, lecz i ojczyźnie.

Panicz prawdy te rozumiał dokładnie, bez oporu zatém, a nawet bez niechęci, po skończonych igrzyskach na dworze babenbergskim, skierowano konie ku sławnemu benedyktyńskiemu klasztorowi, gdzie już ksiądz Kleofas uprzedził zwierzchność o bliższym swojego wychowanka przybyciu, a że i sam w młodości tamtejszym był uczniem i piękne po sobie wspomnienie zostawił, przyrzeczono mu dobre przyjęcie.

W Bawaryj, nad brzegiem ogromnego jeziora Tegern wznosił się wspaniały klasztor, od wieków już przez Benedyktynów osiadły, obfitujący w dostatki, pomniki sztuki i nauki, znane naówczas, którego zakonnikami byli po większej części potom-

kowie znakomitych rodzin, a opatami książęta, przez samych cesarzów niemieckich poważani. Do tego to przybytku ciszy, spokoju i nauki, przywiózł rozumny nauczyciel młodego Samuela, pewny, że skarby i wzory, jakie tam znajdzie, zachęcą go do umysłowej pracy, ukoją i uszlachetnią rozbujającego nieco wśród świata młodzieńczego ducha.

Nie omylił się poważny kapłan; młody Polak z zapałem rzucił się do nauki, pilnie uczęszczał na wykłady, długimi godzinami przebywał w salach, gdzie się zakonnicy zajmowali wygotowywaniem rękopisów zdobnych rysunkami i rozchodzących się po królewskich dworach, jako psalterze królowych, a po klasztorach, jako kanony i brewiarze. Na usilne prośby dozwolono młodemu Samuelowi mieć przy sobie wiernego sługę Brunona, a raz dostawszy się na kurytarze, nikt już młodemu chłopcu nie bronił poruszać się swobodnie i korzystać z wszystkiego, co udzielała miejscowość. Nie było w wielkim klasztorze istoty równie chciwej wiadomości i nauki; Bruno był wszędzie, gdzie coś zobaczyć lub usłyszeć było można, pomagał wszędzie, podziwiał wszystko, nie pomijając obowiązku, nie tylko służenia lecz towarzyszenia młodemu swemu panu. On był jego pamięcią, jego narzędziem, a przynajmniej dostarczycielem narzędzi do pisma i potrzebnych matematycznych rysunków, on ostatecznym wykonawcą zadań, kiedy po dłuższym przeciągu czasu pracowite to życie sprzykrzyło się młodemu paniczowi.

(d. c. u.)

### Rozwiązanie zagadki historycznej, zamieszczonej w Nrze 36 Pisma,

nadesłane przez Maryą B. ze Świącie i uznane za najlepsze przez Redakcyę, która za nie przysądziła nagrodę Tom I Wieczorów Rodzinych w ozdobnej oprawie. Bardzo dobre rozwiązania nadesłali także Antoś J. z Niszowiec, Natalcia O. z Pragi,

Marynia P. z Włoczewa, Roman Ż. z Michałowic, i otrzymali roczniki Pisma zbroszurowane.

Jan Tarnowski należy do najznakomitszych wojowników i wodzów XVI wieku. Pochodził on z dawniej rycerskiej rodziny; dziad jego, wojewoda krakowski, dowodził wojskiem polskim pod Gründwaldem w r. 1410. Ojciec zaś, Jan Amor, kasztelan krakowski, walczył z Wołochami i zmusił hospodara Helę do oddania hołdu Kazimierzowi Jagiellończykowi. Matką była Barbara z Rożnowa, wnuczka Zawiszy Czarnego, sławnego w dziejach naszych rycerza, o którym do dziś dnia pozostało przysłowie: „Polegaj na nim, jak na Zawiszy.“ Jan Tarnowski urodził się w r. 1488, w dziecińczych latach utracił ojca; wychowywał się pod okiem matki, pod opieką królewicza Fryderyka kardynała i Macieja z Drzewicy, biskupa przemyskiego; okazywał wielką chęć i zdolności do nauk i został polecony przez swych opiekunów królowi Olbrachtowi, który go też swemi względami zaszczycił.

Ale dusza młoda, gorąca, pragnęła poznać świat szerszy i ludzi, a głównie sztukę wojenną; więc zwyczajem ówczesnym udaje się Jan w obce kraje, zwiedza Syryę, Palestynę i brzegi Afryki. Płynąc na okręcie portugalskim, napadnięty przez korsarzy, mężstwem i przytomnością umysłu ratuje okręt i załogę. Król portugalski, Wiktor Emanuel, oceniając odwagę i nagradzając mężstwo, powierzył Tarnowskiemu dowództwo wyprawy przeciw Maurom.

Ważne usługi, jakie młody wojownik oddał królowi w walkach z Saracenami, zjednały mu szacunek tego monarchy i hojne dary przy rozstaniu.

Wracając do kraju, drogę swą na Rzym skierował, a poprzedzony sławą *pogromcy niewiernych*, był od Papieża Leona X jako dzielny rycerz przyjęty i obdarzony listem polecającym do króla Zygmunta I. Cesarz rzymski, Karol V, usiłował zatrzymać go na swym dworze, obdarzył tytułem hrabiego i chciał oddać dowództwo nad wojskami. Lecz Jan Tarnowski pragnął służyć swój ojczyźnie; a zasłyszawszy, że na północy wybuchła wojna, śpiesznie wraca do Polski, za-

ciąga się w szeregi wojowników, gotujących się pod dowództwem Konstantego księcia Ostrogińskiego do walnej bitwy pod Orszą.

Tarnowski, na czele hufca złożonego z najcelniejszej młodzieży, przybrany w przepyszną zbroję, w szyszaku z pióropuszem, w stroju hiszpańskim, na dzielnym rumaku wyjechał na harce przed szyki, stojące w pogotowiu do boju, wyzywając do ręcznej walki nieprzyjaciela. Za co surowo został zgromiony przez księcia Ostrogińskiego i przed królem oskarżony; ale Tarnowski dowiódł, że w obcych krajach zwyczaj ten istnieje i z łatwością dobrego monarchę przeblagał, a świetne zwycięstwo pod Orszą zapął jego uwieńczyło. Wkrótce otrzymał buławę koronną; a gdy hołdownik polski, Piotr, wojewoda Wołoski, podniósł rokosz i w kilkadziesiąt tysięcy wkroczył na Pokucie r. 1500, Tarnowski z 4,000 rycerstwa pod Obertynem straszną zadał mu klęskę i mnóstwo dział i chorągwi oraz niewolników zabrał.

Tak świetne zwycięstwo obudziło uwielbienie dla znakomitego wodza. Tarnowski, wjeżdżając do Krakowa, prowadził w tryumfie tłumy brańców i bogate łupy. W katedrze na Wawelu na kolanach dziękował Bogu za odniesione zwycięstwo; a wielką chorągiew wołoską i wiele mniejszych zawiesił na grobie Ś-go Stanisława.

Król Zygmunt I oczekiwał w sali zamkowej na dzielnego hetmana; a za ukazaniem się jego, powstał z tronu i serdecznie go uściskał.

Orzechowski pisze o Tarnowskim: „Była to natura gotowa ku okazaniu łaski i nielaski na obie strony; gdy srogi był, widziałeś jawnie iskry w jego oczach, twarz pałała, kark się jako na lwie odymał, szyja się trzęsła, wstawały na nim włosy; a gdy zaś łaskaw był, anioł z nieba a nie człowiek.“ W drugim miejscu: „Był Tarnowski mąż sprawiedliwy, żadna go rzecz z drogi sprawiedliwości sprowadzić nie mogła.“ Podczas pierwszego rokoszu Lwowskiego takie zamieszanie było w Rzeczypospolitej, iż niektórzy chcieli królowi Zygmuntovi I posłuszeństwo wypowiedzieć. Tarnowski widząc, iż ztąd wojna domowa wyniknąć może, z taką żwawością sprzeciwiał się w swój mowie

rokoszanom, iż go mało nie rozsiekali. Podobnie postąpił on na sejmie w Piotrkowie, który się zaczął r. 1548, a zakończył w 1550 roku. Gdy cała prawie Rzeczpospolita nalegała, aby się król Zygmunt August rozwiódł z Barbarą Radziwiłłówną, on stanął po stronie króla i wołał: „Ja, najjaśniejszy panie, znam się być senatorem twoim; w żadnej ci mierze przy zarządzie Rzeczypospolitej mnie brakować nie będzie. Ciebie za głowę powszechniej rady i wojny uznaję i mniemam, że wszyscy ci tożsamo czynić powinni, którzy sobie życzą Rzeczpospolitą zachować.“ A wpływem swoim zdołał przejednać Piotra Kmity, wojewodę krakowskiego, Górkę, kasztelana poznańskiego i arcybiskupa Prymasa, oraz Boratyńskiego i sprawił, że sejm tak burzliwie zaczęty, zupełnym pojednaniem króla z radą senatu i posłami stanów i uznaniem Barbary za królową się zakończył.

Wygnanego z tronu węgierskiego Jana Zapolya na zamku swym w Tarnowie przyjmuje i otacza dostatkiem prawie królewskim; a nawet do odzyskania tronu się przyczynia; za co wdzięcznym monarcha, wróciwszy do kraju, przysłał Tarnowskiemu w darze puklerz i buławę szczerzo-złotą wartości 40,000 dukatów. W wolnych chwilach od usług krajowych poświęcał się Tarnowski naukom, wzbogacił swą bibliotekę rzadkimi rękopisami, sam zaś napisał i wydał w Krakowie dzieła: „O gotowości wojennej i Ustawy prawa ziemskiego polskiego.“

Pod koniec życia Jan Tarnowski zasmucony widokiem intryg, które otoczyły Zygmunta Augusta, a nawet poróżniły go z królem, gdy na dworze królewskim przeważał wpływ Radziwiłła Czarnego, usunął się do wiejskiego zacisza i we wsi Wiewiórcie życia dokonał r. 1561 mając lat 73.

### Łamigłówa w kwadraciku.

W kwadraciku z 16 podziałek umieścić 8 A, 1 B, 1 C, 1 G, z R, 2 T, 1 W., ażeby odczytać w obu kierunkach: 1) Wyrób z bawełny. 2) Imię biblijne. 3) Sprzęt gospodarski. 4) Mieszkaniec Azji.

### Łamigłówka odwrotna. (R. A. K.)

Znaleźć siedm wyrazów, które się nie zmieniają, gdy je odczytamy odwrotnie:  
 1) Poseł kurlandzki przy dworze Stanisława Augusta. 2) Znakomity geograf w Lejdzie, autor wielu dzieł botanicznych. 3) Bóstwo egipskie. 4) Pasma wzgórz w Westfalii. 5) Zaimek. 6) Kosztowny strój. 7) Spółczesny autor i redaktor. Pierwsze i ostatnie litery utworzą nazwisko sławnego malarza.

### Rozwiązania do Numeru 43-go.

#### Krzyża z podstawą:

M  
 A  
 Ł A S K I  
 S  
 A  
 L  
 S  
 K  
 G E B I C K I  
 O            N  
 K A R T A G I N A.

### Łamigłówki w kwadraciku.

K	U	R	A
U	G	O	R
R	O	L	A
A	R	A	K

### Odpowiedzi od Redakcyi.

A. K. w S. Wzory do rysunków wysłane i historia także. Za przesyłkę nic się nie należy, gdyż zastosowaliśmy się do nadesłanej sumy.

Maryni K. Pomimo całej przyjemności, jaką nam sprawiają liściki kochanych naszych korespondentów, nie możemy wymagać, aby na to poświęcali chwile do unuki przeznaczone. Ale przy dobrej woli, zawsze się swobodna chwilka znajdzie, liczymy więc na obietnicę.

Małgosi. Za wyborne łamigłówki stałej naszej współpracownicze serdecznie dziękujemy. Jedne tylko zadanie konikowe nie jest według prawideł ułożone, gdyż zgłoski powinny następować po sobie tak, jak konik przeskakuje w grze szachowej. Cieszymy się niezmiernie, że *Pamiętnik wujaszka* zajmuje czytelników; ukończy się w roku bieżącym. *Gawędy podsłuchane u Wiślanej fali* będą jeszcze w dalszym ciągu drukowane. Pięknie to bardzo, że takie rzeczy swojskie czytane są z upodobaniem.

Maryni B. w Słonimiu. Serdecznie dziękujemy przysyłej naszej prenumeratorce, a terazniejszej pilnej czytelnicze za taki miły liścik. Rozwiązanie jest dobre ale za późno nadeszło, chociaż tą razą więcej niż zwykle czasu daliśmy na to kochanym czytelnikom.

Pani Maryi K w Wonkowcach. Literatura wysłana. Wypisy Mecherzyńskiego kosztują rs. 1 kop. 60. W tym roku wyszły z druku wybrane dla dorastających panienek Wypisy ułożone przez Panią Dzieduszycką, współpracowniczkę naszego Pisma; kosztują 1 rs. kop. 80.

Treść.—Julian Bartoszewicz, (z drzeworytem).—Zamek Czorsztynski, (z drzeworytem).—Bajki, a nie bajki. (Gawęda o Ignacym Krasickim), dalszy ciąg.—Dwie dziewczynki, dyalog w dwóch częściach, przez Natalią Sokołowską.—Medalik z roku 1768. Powieść przez Z. Morawską, (dalszy ciąg).—Męczennicy, opowiadanie historyczne, przez Paulinę Krakowową.—Rozwiązanie zagadki historycznej.—Łamigłówki.—Rozwiązania.—Odpowiedzi od redakcyi.

Prenumerata wynosi w Warszawie: *Rocznie* Rs. 4 i kop. 10 na Szpital Dziecinny. *Kwartalnie* Rs. 1 i kop. 2½ *Miesięcznie* kop 34 i pół. Na Prowincyi i w Cesarstwie z opłatą poczt: *Rocznie* rs. 5 i 10 kop. *Kwart.* rs. 1 kop. 27½ w Poznaniu u N. Kamińskiego: *Rocz.* 14 marek. *Kwart.* 3 marki 50 fenig. Z przesyłką pocztową na prowincyi *Rocz.* 16 marek. *Kwart.* 4 marki We Lwowie u Gubrynowicza Schmidta *Rocz.* 7 złr. 20 cent. *Kwart.* 1 złr. 80 cent. Z przesyłką poczt. na prowincyą: *Rocz.* 8 złr. 80 cent. *Kwart.* 2 złr. 20 cent. w Krakowie u Gebethnera i Sp. *Rocz.* 6 złr. 60 cent. *Kwart.* 1 złr. 65 cent. Z przesyłką poczt. na prowincyą: *Rocz.* 8 złr. *Kwar.* 2 złr.

Biuro Redakcyi: Ulica Mazowiecka Nr. 8.

Дозволено Цензурою. Варшана, 9 Октября 1881 года.—Redaktorka i Wydawczyni Ludwika Hauke.

Czcionkami M. Ziemkiewicza i W. Noskowskiego, Krakowskie-Przedmieście Nr. 415.